

A romantic close-up of a man and a woman about to kiss. The woman has long, wavy blonde hair and is wearing a black lace top. The man has a short beard and is looking at her with his eyes closed. Her hand is gently touching his neck.

Niebezpieczne piękno #1

NIEBEZPIECZNE

piękno

Ma ochraniać żonę mafiosa, która uciekła do Meksyku.
Jednak nie powinien podchodzić do niej zbyt blisko.



J.T. GEISSINGER

Tytuł oryginału
Dangerous Beauty
Copyright © 2019 by J. T. Geissinger
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Sandra Pętecka

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-011-8

J. T. GEISSINGER

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO #1

TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2022

Jayowi

Życie z kobietą, jest jak podróż szosą. Im więcej zakrętów, tym bardziej niebezpiecznie.

Mae West

ROZDZIAŁ 1

Eva

Śledzono mnie, odkąd pamiętam, dlatego wykształciłam coś, co określam jako szósty zmysł.

Czuję ukłucie iskry na skórze. Kilka włosków na ręce staje dęba. Pojawia się zwierzęcy instynkt, dzięki któremu czas zwalnia, a wszystko staje się niezwykle wyraźne, jak wtedy, gdy kochanek delikatnie przygryza mi skórę na szyi, a sutki natychmiast twardnieją.

Ktoś mnie obserwuje.

Ktoś się zbliża.

Staram się nie pokazać, jak bardzo się denerwuję, lecz moje tętno wzlatuje pod niebiosa i z trudem łapię oddech. Jak gdyby nigdy nic oglądam kolejne brzoskwinie na drewnianym straganie, aż w końcu trafiam na tę idealnie dojrzałą, o nieskazitelnej skórce. Biorę ją do ręki, po czym chowam do płóciennej torby, która wisi na moim ramieniu, płacę handlarzowi, i ruszam dalej, krocząc przez ozdobiony cienistymi cętkami targ.

Zmuszam się, by nie przyśpieszać kroku. Czuję na biodrze zimny, pokrzepiający ciężar niewielkiego pistoletu, ukrytego w kieszeni spodnicy.

Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie. Dmitrij nigdy nie pozwalał, bym cieszyła się spokojem tak długo. Ale tym razem nie wracam.

Tym razem może mnie odzyskać tylko w worku na zwłoki.

Pomarańcze. Mango. Lokwaty i czerymoje, lekko poobijane po podróży ze stałego lądu, ale jadalne. Trochę warzyw, do tego kawałek świeżego tuńczyka ze stoiska rybnego, i zakupy gotowe.

Na targu jest spory tłok, jak to w soboty, gdy do portu zawijają wycieczkowce. Roześmiane dzieci gonią się po wyjeżdżonym bruku. Turyści podziwiają zbyt kosztowne świecidełka na straganie z biżuterią. Gdzieniegdzie w kolejce przybyszy powiewają poruszane oceaniczną bryzą wielobarwne niczym egzotyczne ptaki chusty.

Kiwam głową w stronę kilku znajomych twarzy, ale nie przystaję, by z nimi porozmawiać. Muszę szybko zgubić ogon. Zresztą, mój głos zdradziłby, że się boję. W takich chwilach zawsze robi się wysoki i napięty, to jedyna rzecz, której nigdy nie nauczyłam się kontrolować.

Na szczęście głos nie będzie mi potrzebny, by uporać się z człowiekiem, który mnie tropi. Wystarczą mi dłonie – jak zawsze opanowane – odludna uliczka i ukryta w fałdach spódnicy broń.

Cozumel, podobnie jak reszta Meksyku, cierpi z powodu wysokiej przestępczości. Martwy człowiek w ciasnej uliczce wywoła co najwyżej wzruszenie ramion.

Tyle że jeszcze nie jest martwy. Mój prześladowca działa ostrożnie. Gdy kluczę w labiryncie stoisk z owocami, kwiatami i tanimi T-shirtami w promieniach gorącego słońca, z łomoczącym pulsem, on trzyma się na bezpieczny dystans.

Mijając stojące wzdłuż przytargowego chodnika półciężarówki wyładowane arbuzami i *pepino amarillo*, przyśpieszam kroku. Moje mieszkanie znajduje się bezpośrednio nad oceanem, ale ja kieruję się w przeciwną stronę, w głąb miasteczka. Zmierzam ku ulicy słynącej z obrotu narkoty-

kami, gdzie turyści mogą kupić od bandziorów o kamiennych twarzach co tylko zapragną, a potem zostać obrabowani przez tychże samych handlarzy.

Spocona od wilgoci i adrenaliny, skręcam, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Czuję za plecami nieniknącą obecność prześladowcy. Zimną i ulotną, niczym mgła.

Wychudzony bezpański pies rozgrzebuje pyskiem zalegającą w rynsztoku śmieci. Starzec ukrywający się w cieniu palmy pali papierosa mrużąc wodniste oczy, żeby mi się przyjrzeć. Gdy skręcam w kolejny róg i przystaję, by z trudem złapać oddech, stado spłoszonych gołębi zrywa się do lotu.

Spokojnie. Załatw sprawę, biegnij po torbę i zniknij. Szkoliłaś się do tego. Jesteś przygotowana!

Ale jeszcze nigdy nikogo nie zabiłam. Nie łudzę się, że strzelanie do drzew w lesie przygotowało mnie do tego, co poczuję, gdy już kogoś zabiję. No i *rew...*

Knę pod nosem i odpycham tę myśl, zanim na dobre wybrzmiała. To nie czas na sentymenty. Kimkolwiek jest śledzący mnie człowiek, jedno jest pewne: to najemnik. Dmitrij zatrudnia wyłącznie zaprawionych, bezlitosnych mężczyzn i ten nie będzie wyjątkiem.

On albo ja. Niech Bóg zważy mój grzech później.

Akurat Stwórca wie, co mną kieruje.

Wchodzę w wąską uliczkę pomiędzy dwoma opuszczonymi budynkami. Powietrze jest przesycone smrodem szczyń i gnijących śmieci. Przyciskam plecy do ceglanego muru, kładę płócienną torbę na ziemi i wyciągam pistolet.

I czekam, wstrzymując oddech.

Jeśli chcesz, to chodź po mnie. Mam dla ciebie niespodziankę, przyjacielu.

Po mojej skroni spływa strużka potu. Każde uderzenie mojego serca brzmi w nieruchomym powietrzu popołu-

dnia niczym armatni wystrzał. Słyszę ciche szuranie stóp, więc unoszę broń.

Prawie rozwaliłam łeb staruszkowi, którego wcześniej mijałam.

– *Dinero?* – rzezi, wyciągając wykręconą reumatyzmem dłoń.

– Boże! – krzyczę, chwiejąc się z przestachu. – Prawie cię zabiłam!

Znowu mruży oczy i mi się przygląda, broń chyba nie robi na nim wrażenia.

– *Dinero?*

– Spadaj! *Vete!* – syczę, machając pistoletem, żeby na pewno zrozumiał, o co mi chodzi.

Wciąga powietrze przez pożółkłe zęby, przez chwilę lustruje mnie wzrokiem i w końcu odchodzi.

Opieram się ciężko o mur, mam wilgotne ręce, kolana mi drżą, ale czekam dalej.

I czekam.

I wciąż czekam.

Gdy słońce osuwa się niżej, a cienie wydłużają się i smukleją, dochodzę do wniosku, że mój prześladowca mógł nie pojawić się wyłącznie z dwóch powodów. Albo udało mi się go zgubić – co wydaje się mało prawdopodobne, bo szłam wolno i nie próbowałam uciekać – albo ma dość oleju w głowie, by nie wchodzić za mną w taką uliczkę. A to oznacza, że domyślił się, co planuję.

Możliwe, że wciąż gdzieś tam jest...

Nie mogę ryzykować, że pójdzie za mną do kryjówki, w której trzymam awaryjną forszę i nowe papiery, nie chcę też wracać do mieszkania, bo przecież na pewno już wie, gdzie mieszkam. Więc, zaciskając zęby, wybieram trzecią opcję.

Świetna taktyka: wyprowadzę w tego sukinsyna uderzenie wyprzedzające.

Wracam na szerszą ulicę.

Nie napotykam jednak człowieka Dmitrija.

Gdy tylko wyłaniam się z cienia budynków, w moją stronę obraca się głowa pokrytego od nadgarstka po bark tatuażami gangu diler. Mężczyzna mierzy mnie bezdenie nieprzytomnymi, czarnymi oczami. Tarasuje przejście wraz z czterema innymi facetami, którzy ucinają rozmowę i podążają za jego wzrokiem.

Czarnooki szczyrzy się od ucha do ucha, ukazując spróchniałe zęby.

– Zabłądziłaś, *chica bonita*?

Stawia krok w moją stronę, emanując niewypowiedzianą groźbą. Pozostali idą w jego ślady.

Krew odpływa mi z twarzy, bo dociera do mnie z uderzającą klarownością, w jakie wpadłam tarapaty.

Mam w pistolecie pięć naboji.

Mogę chybić tylko raz.

ROZDZIAŁ 2

Naz

„Bułka z masłem”, mówili. „Po prostu obserwuj i raportuj”, powtarzali. Naz, twoja pierwsza operacja będzie jak przechadzka przez park. Przy okazji trochę się opalisz. Napijesz się piwka. I zarobisz łatwą kasę, szpiegując zepsutą żonkę, która uciekła jakiemuś ruskiemu oligarsze.

Łatwizna. Pewnie, że tak. Tyle że najwidoczniej wszyscy, włącznie z mężulkiem, w chuj zlekceważyli tę cizję.

Nagle wyłania się z cienia z zadartym podbródkiem i trzydziestką ósemką w ręce, jak u Tarantino. Piękna kobieta o szalonych, hipnotyzujących oczach, wychodzi na krwawe łowy. Niemalże słyszę gorączkowe, gitarowe flamenco w tle.

Powinienem zostać w ochronie celebrytów, bo niańczenie Evaliny Ivanovej zapowiada się równie przyjemnie jak wrzód na dupie.

– Nie chcę żadnych kłopotów.

Biorąc pod uwagę, jak pewnie trzyma broń, jej głos jest zaskakująco nerwowy. W jej oczach widać furję i żądzę mordy.

Hmm, a może tylko pozuje na twardzielkę.

Diego Diler, od niedawna mój najlepszy ziomek, jest tego samego zdania.

Ocenia ją przelotnym, byстрыm spojrzeniem faceta przywykłego do spoglądania w lufę wymierzonej weń broni

przynajmniej dwa razy dziennie i to jeszcze przed obiadem. Drobną szydera na wejście, żeby pokazać, jaka tu panuje hierarchia. Jego paskudny uśmiech robi się jeszcze szerszy, bo właśnie uznał, że owa kobieta nie stanowi zagrożenia.

Stawia kolejny krok naprzód. Gnoj po mojej lewej też obleśnie się szczyrzy. Bydlak po prawej mruczy coś pod nosem.

Wzdycham ciężko. *No to jedziemy.*

– Jeszcze krok i będziesz śpiewał falsetem, *amigo* – grozi Evalina, obniżając nieco lufę, tak, by celowała w krocze Diega.

– Zamknij się, głupia dziwko.

Diego się zatrzymuje. Zakładam, że przywykł do gróźb wysuwanych pod adresem jego klejnotów rodowych. Tak to jest, gdy człowiek ma niesamowicie nieodparty urok.

– Mówię poważnie – rzuca dziewczyna, a jej głos jest coraz wyższy. – Nie zmuszaj mnie, bym strzeliła!

– Stary, dobijamy targu czy nie?

Diego zatrzymuje się na środku ulicy. Patrzy na mnie przez ramię, jakby nie potrafił zdecydować, kogo najpierw zabić – ją czy mnie.

– Z całym szacunkiem, ale mamy interes do zrobienia.

– Wzdycha wkurwiony. – Nową zabawką będziesz się mógł zająć, gdy dostanę to, po co tu przyszedłem.

Wyciągam z kieszeni szortów gruby plik banknotów i macham nim jak przynętą.

Evalina gapi się, jakbym postradał zmysły. Ma wielkie, brązowe oczy. Całkiem ładne. Z bliska są jeszcze bardziej uderzające niż w obiektywie mojego aparatu. Nie dziwię się, że mężulek tak bardzo pragnie ją odzyskać.

Natomiast byłoby fajnie, gdyby zdjęta palec ze spustu, bo mam wrażenie, że jak tylko usłyszysz jakiś hałas, to się wystraszy i nas wszystkich pozabija.

– Dobrze, przyjacielu. Najpierw interesy.

Diego zaszczyca mnie kolejnym parszywym uśmiechem. Jak na gościa z mordą pełną spróchniałych zębów, lubi się śmiać.

Zerka na kolegę, który stoi po mojej lewej, i wskazuje szybkim ruchem podbródka na Evalinę. Jakby chciał powiedzieć „zajmij się nią”. Następnie Diego powolnym krokiem rusza w moją stronę, a pozostali idą do niej.

A potem wszystko dzieje się już szybko. Bardzo szybko.

Gdy tylko Diego znajduje się wystarczająco blisko, moja pięść zawiera bliską znajomość z jego nosem, miażdżąc go jak krakersa. Krew tryska na wszystkie strony. Nieborak wyje z bólu i pada na kolana. Tymczasem jego kumple obracają się, żeby sprawdzić, co to za nagłe poruszenie. W tym czasie ja wyrywam spluwę zza paska dzinsów Diega, kopię go w klatkę, żeby upadł na plecy, i celuję w trzech ludzi, gapiących się na mnie z szeroko rozdziawionym gębami.

Wyjaśniam im po hiszpańsku, żeby spierdalali, bo jak tego nie zrobią, to będą żreć ołów.

Rozsądnie postanawiają spierdalać.

Wycofują się ostrożnie z rękoma w górze.

– Jesteś trupem – stwierdza jeden z nich spokojnie, przewiercając mnie wzrokiem.

– Wysłuchuję tego na okrągło – odpowiadam i kopię Diega w żebra, żeby też się zmywał.

Diego stęka i przeklina, po czym z trudem zwleka się z gleby, trzymając się przy tym za nos jak mała dzidzia.

– Złamałeś mi nos, stary! Kurwa, mój nos!

– No wielkie mi halo. Jak się nie pośpieszysz, złamię ci resztę gęby. Leć do kolegów. Czas się już pożegnać, więc papatki.

Posyła mi mroczne, groźne spojrzenie.

– Zapamiętam twoją twarz, jebany cudzoziemco – obiecuje, idąc tyłem.

– Zapamiętaj, Diego. A ja zapamiętam twoją. Trudno nie będzie, bo paskudniejszego ryja jeszcze nie widziałem. Idź do dentysty, jebany degeneracie, bo rzygać się chce na twój widok.

Odsuwa dłonie z twarzy i obnaża zęby jak dzikie zwierzę. Jego nos zamienił się w krwawą pulpę, a czarne oczy przypominają mordercze szparki. Krew pobrudziła mu górę białej żonobijki.

Naprawdę, widywałem ludzi w lepszym stanie po czołówce z ciężarówką.

Diego i jego kompania znikają za najbliższym rogiem, a potem uciekają biegiem.

Podnoszę mój hajs z chodnika, chowam półautomatyczną spluwę Diega za pasek i zakrywam ją koszulą. Spoglądam na Evalinę, która nadal stoi na środku ulicy z wpeł uniesioną bronią. Wygląda, jakby właśnie poraził ją prąd.

– Wróć za kilka minut. Tym razem uzbrojeni – ostrzegam, wzruszając ramionami.

Daję jej chwilę na zajarzenie sytuacji, po czym ruszam ulicą, w kierunku przeciwnym do tego, w którym zniknęli Diego z kumplami.

Nie obracam się za siebie, choć przychodzi mi to z najwyższym trudem. Nie może pomyśleć, że znalazłem się w tym miejscu z jej powodu. Jestem zwykłym facetem, który chciał kupić trochę zioła i akurat tak się złożyło, że ma wprawę w radzeniu sobie z szumowinami. Absolutnie nie jestem kolesiem wynajętym przez jej mężulka. Ostatnie, na czym mi zależy, to żeby Evalina znowu gdzieś zniknęła, i to na mojej warcie.

Byłby to wybitny debiut w nowej robocie.

Dogania mnie dwie przecznice dalej.

– Hej, hej! – krzyczy, sapiąc.

Podbiega do mnie zarumieniona i zdyszana. Spoglądam w dół i ukazuje mi się spektakularny widok opalonego dekoltu, wyzierającego spod kwiecistej sukienki. Ma pełne, jędrne piersi. Jasna cholera, szczęściarz z tego mężulka.

Nie gap się, debilu.

Idę dalej. Musi przyspieszyć kroku, żeby za mną nadążyć.

– Co tam się stało? – pyta, nie dając za wygraną.

Tam? Nic, jedynie uratowałem ci dupsko, kochana. Ale fajnie, jakbym więcej nie musiał tego robić.

– Ja próbowałem skołować trochę zioła, a ty odgrywałaś rewolwerowca, i bardzo kiepsko ci to szło. – Mrugam do niej, nie zwalnając kroku. – Przyjacielska rada: nie celuj do takich zbirów, jeśli nie chcesz nacisnąć spustu. Z zasady ich to wkurza – mówię i odwracam od niej wzrok, ponownie skupiając się na drodze.

– Skąd wiesz?

Postanawiam powiedzieć prawdę, bo: po pierwsze jestem miernym kłamcą, po drugie w tym przypadku prawda pozwoli wygodnie wyjaśnić całe zajście.

– Byłem gliną.

– Gliną – powtarza, spoglądając sceptycznie na tatuaże po wewnętrznych stronach moich odsłoniętych przedramion.

– Mhm – potwierdzam, mając nadzieję, że nie będzie o nic wypytywać. Jednak to tylko głupie życzenie, bo panna już po chwili kontynuuje swoje przesłuchanie.

– Byłeś? – pyta, ledwo za mną nadążając. – Już nie pracujesz? Czyli to nie była ustawka, żeby ich zamknąć?

– Nie była.

– Zrobiłeś sobie wagary w akademii akurat tego dnia, gdy uczyli, żeby nie ćpać, co? – Dyszy, starając się iść jeszcze szybciej, aby nie zostawać w tyle.

– Gdy już skończysz mnie krytykować, mądralo, możesz podziękować, że uratowałem ci życie. – Prycham. – Coś ty w ogóle robiła w tym zaułku, do cholery? – Kolejne spojrzenie w dekolt. – Och, czekałaś na alfonsa?

Staje jak wryta i wrzeszczy:

– Słucham?!

– Nie oceniam cię, kochana – rzucam przez ramię. – Trzeba jakoś zarabiać. Miłego życia! – Unoszę dłoń, macham jak na pożegnanie i idę dalej.

Tym razem dogania mnie błyskawicznie.

– Nie jestem prostytutką! – warczy.

– Pewnie. – Śmieję się pobłaźliwie. – Kręcisz się po ciemnych zaułkach tej gównianej dzielnicy dla frajdy.

– To nie twoja sprawa, ale myślałam, że ktoś mnie śledzi – wyjaśnia, a w jej głosie słyszę smutek. Cała determinacja zniknęła i zastąpiło ją zrezygnowanie. – Próbowałam go zgubić.

Chryste. I dlatego zawędrowała w tę okolice? Muszę odświeżyć zdolności skradankowe.

– Okej, niech będzie, to nie moja sprawa. – Wzruszam ramionami.

– Nie twoja? – pyta z niedowierzaniem, wbijając rozpalony wzrok w mój profil. – Właśnie naraziłeś się czterem dilerom!

– Narzekasz z tego powodu? – pytam, posyłając jej cierpkie spojrzenie.

Kiedy się rumieni, wygląda na młodszą i mniej pewną siebie.

– Nie narzekam. Dziękuję ci. Doceniam twoją postawę. Gdyby nie ty... – Spogląda w dal i przygryza dolną wargę.

– Gdyby nie ja, to Diego i jego kumple leżeliby podziurawieni jak sita. – Rechoczę. – Nic by ci się nie stało.

– Masz rację co do pierwszego, mylisz się w drugim. Nienawidzę przemocy – przyznaje nieśmiało.

Zaciekawiło mnie coś w jej tonie. Z jej teczki wynikało, że jest bogata, wymuskana i rozpieszczona. Od dziecka. Czy taka kobieta mogła mieć częsty kontakt z przemocą?

– Interesująca filozofia jak na kogoś, kto chodzi z bronią.

– Uciśniony musi poznać język ciemieńców, jeśli chce przetrwać – wypowiada jakąś mantrę. – Niektórzy ludzie znają wyłącznie język broni.

Zdumiony elokwencją tego zaskakującego stwierdzenia, zwalniam nieco i uważnie się jej przyglądam.

– Kogo cytujesz?

– Siebie – odpowiada, jakby oburzona, że urągam jej inteligencji.

Ciekawe. Piękna i do tego kumata? Oby przynajmniej nie miała poczucia humoru, bo będę musiał zniecierpliwienie mężulka, a to byłoby niefortunne, bo nieźle płaci za tę fuchę.

Zerkam za plecy, skąd rozlega się nagle pisk samochodowych opon. Na ulicę wpada starszy model czarnego cadillaca z wielkimi oponami i błyszczącymi kołpakami i przyspiesza w kłębach pyłu. W otwartym oknie po stronie pasażera siedzi facet w okularach przeciwsłonecznych.

Rozpoznaję go, to jeden z wafli Diega. Do tego trzyma w rękach kałasznikowa.

I celuje nim w nas.

– Cholera.

Gdy pierwsze kule świstają nam wokół uszu, łapię Evaline za rękę i ciągnę z chodnika w stronę małego kościółka z wypalanej cegły. Boczne drzwi ze starego drewna są zamknięte, więc muszę je wykopać. Pękają z hukiem. Wbiegamy do chłodnego, posępnego wnętrza i pędzimy do ołtarza, tymczasem przed budynkiem rozlega się pisk hamującego samochodu, który niesie się echem po całej nawie.

Evalina nagle staje, tuż przed prostym ołtarzem. Klęka na jedno kolano, pochyla głowę i robi znak krzyża.

– Kochana, później się pomodlisz.

Łapię ją za łokieć, tymczasem grad kul dziurawi drewnianego Jezusa na krzyżu, wiszącego na ścianie.

Evalina krzyczy wystraszona, zrywa się na nogi i biegnie za mną, gdy przebijam się przez kolejne drzwi i jeszcze jedne. W końcu wypadamy na ulicę po drugiej stronie, znajdujemy się w jakiejś dzielnicy mieszkalnej. Dobiegają nas krzyki, ale nie odwracamy się.

– Tutaj! – woła, skręcając w jedną z bocznych uliczek.

Musi znać trasę, bo biegnie z pełną prędkością, jej sukienka faluje wokół nóg, a włosy powiewają na wietrze. Zanim rzucam się za nią sprintem, pozwalam sobie, by przez chwilę popodziwiać widok.

Wykonuje serię ostrych zwrotów przez podwórka, biegnie wzdłuż gęstego żywopłotu szkarłatnych kwiatów, a potem przemyka przez otwarte tylne drzwi malutkiej knajpki. Wpadamy do ciasnej, parnej kuchni.

Evalina wykrzykuje kilka słów przeprosin do zdumionych kucharzy, a zanim przebiega, przez kolejne drzwi, do sali jadalnej, dodaje, że policja depcze nam po piętach.

Na te słowa dwóch kucharzy natychmiast zatrzaskuje drzwi, zamyka na nich kłódkę i jeszcze blokuje je metalową, poprzeczną sztabą.

Wychodzi na to, że korupcyjna sława tutejszej policji ma pokrycie w rzeczywistości.

W lokalu roi się od swobodnie rozmawiających nad piwkiem turystów i miejscowych. Zwalniamy tempo, meandrujemy spokojnie między stolikami i zaledwie kilka osób zaszczyca nas spojrzeniem. Gdy wychodzimy na ulicę,

rozpoznaję, gdzie jesteśmy. Przy pełnym ludzi miejskim placu, gdzie szybko wtapiamy się w tłum.

– Nieźle – rzucam do niej, gdy kierujemy się w stronę targu, na którym pierwszy raz ją wypatrzyłem. – Przypomnij, żebym do ciebie przedzwonił, gdy następnym razem będę musiał się skądś szybko ulotnić.

– Przestań się bratać z dilerami, to nie będziesz musiał się ulatniać.

Posyła mi spojrzenie swych brązowych, roziskrzonych oczu, a ja nie potrafię opanować uśmiechu.

– Nie bratam się. Po prostu sporadycznie korzystam z ich usług.

Kłamstwo. Nienawidzę prochów. Ale prawdy powiedzieć nie mogę.

Evalina zaczyna mnie oceniać swoim bystrym spojrzeniem. Spogląda na moje nogi i zauważa, że lekko kuśtykam.

– Starasz się w ten sposób stłumić ból?

To wygodna wymówka, więc przytakuję, ale muszę przyznać, że uraziła moją dumę, dostrzegając, że kuleję.

– Próbowalesz akupunktury?

Prycham.

– Wyglądam ci na faceta, który dobrowolnie zgodziłby się, żeby jakiś dziwak faszzerował go igłami?

Unosi kąciuki ust, nasze spojrzenia się spotykają i w jej oczach widać uśmiech.

– Nigdy nie wiadomo, pozory bywają mylące. – Wzrusza ramionami. – Może jesteś uzależnionym od zioła byłym gliną z fetyszem do igieł, a do tego hodowcą jamników i miłośnikiem ponadczasowego stylu muzycznego Justina Biebera.

– Jasne – odpowiadam z kamienną miną. – Szaleję za Biebsem.

– A poza tym, masz tatuaże. Czyli dałeś się faszerować igłami.

– Jedną igłą. – Mrugam do niej. – I gwarantuję, że artysta, który wykonał moje tatuaże, byłby urażony porównaniem do akupunkturzysty.

– Och, najmocniej przepraszam. Twój tatuażysta jest artystą, tak?

Drażni się ze mną. Dopiero co zwialiśmy bandzie zapluty z wściekłości, uzbrojonych po zęby dilerów, a ją bierze na żarty.

Co to za kobieta?

Ach, już pamiętam. To żona jakiegoś dzianego Ruska, w której nie powinienem się zabujać.

– Dziękuję za interesujący poranek – mówię, zwalniając przy fontannie otoczonej pstrykającymi fotki turystami.

– Ale muszę już lecieć. Uważaj na siebie, słyszysz?

Na jej twarzy odbija się szczere zaskoczenie. Widać po tej minie, że będę pierwszym mężczyzną, który kiedykolwiek opuścił ją z własnej woli.

– Słyszę. Ty też. I jeszcze raz dzięki... – Przez ułamek sekundy się waha. – Jak masz na imię?

Promienie słońca tańczą w jej włosach, nadając im bogatej, złoto-brązowej barwy. Końcówki jej długich rzęs są blond, natomiast jej opalona słońcem, połyskująca skóra ma kolor gałki muszkatolowej.

– Nasir – odpowiadam z lekką chrypą. – Dla przyjaciół Naz.

– Uratowałaś mi życie, więc tak będę cię nazywała. Eva.
– Wyciąga rękę.

Nasz uścisk dłoni ma w sobie coś uroczystego, jakbyśmy zawierali jakiś pakt.

– Na razie, Naz. Trzymaj się z daleka od kłopotów. – Patrzy mi w oczy nieco dłużej, niż wymaga międzyludzka uprzejmość, a następnie obraca się i znika w tłumie.

Stoję w miejscu, dopóki słońce nie zaczyna parzyć mnie w kark. Ta fucha bynajmniej nie będzie łatwa.

Mam paskudne przeczucie, że trzymanie się na dystans od Evaliny Ivanovej okaże się najtrudniejszym wyzwaniem w moim życiu.